



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ZBLIZKA i ZDALEKA.

Każdy szlachetniejszy i niezsputy człowiek — każdy człowiek uczciwy ma wrodzoną sobie cześć dobra, uszanowanie cnoty, i to jest ów rozum ludzki, o którym poucza nas pierwszy elementarz moralności, że, obok mowy, różni się nim od zwierząt. Rozum ten, instykt dobra, nie dzielony z żadną inną istotą na ziemi, rozwija się w nas i podnosi w miarę wyrobienia duchowego: coraz wyższe, doskonalsze formy dla ideału dobra przed nami stawia, i są to dla myśli, dla życia naszego, jak stopnie drabiny Jakubowej; ale niemniej w zasadniczej swej treści rzecz to jedna i tasama dla czi mędrca i prostaczka: poczucie duchowego piękna w dobrem — poczucie duchowego obowiązku w osiągnięciu go i przyswojeniu sobie przez czyny, których celem jest cnota: pożytek ogółu i nasze własne podniesienie się moralne. Prócz cynika, który już na poziom zwierzęcości zestępuje, wszyscy pojmujemy to mniej więcej jednakowo; czy przeciw wszystkim żywoty ludzkie odzwierciedlają to harmonijnie?

Są słabości i niemoce, chwytające nas wpół drogi do celu; są namietności — wichry i nawałnice ducha, które nam pracę naszą dla dobra nagle burzą i watek jej targają; ale to jeszcze nie główny węzeł kwestyi dla szukającego dobra. Któryś pisarz francuzki powiedział, że każdy stan ducha ma swoje krajobrazy życia, które mu ukazują w perspektywie wyobraźni coś, co pociąga lub odraża, i jest tak niewątpliwie. Dobro, to dla każdej duszy szlachetniejszej jakby Ziemia Obiecana w widzeniu Mojżesza ze szczytu góry świętej: pragnie się go i wyciąga doń ramiona z extazą miłosną, z gorącą tęsknotą pożądania;

ale aby je, to dalekie, ująć i posiadać na własność, trzeba najpierw dać mu w myśli naszej miejsce oznaczone na planie naszego życia, a potem zejść ku niemu na twardy grunt rzeczywistości i pracy, która ma je nam zdobyć, nabyć za cenę trudu, oblewającego nieraz czoło znojem; a rzecz to stokrót cięższa i trudniejsza niż poznanie i uznanie dobra, niż nawet wzruszenie dlań serca miłosne.

Zdaleka, w złudnym obrazie powstałym z blasków i cieniów życia, zdaje nam się, że dość jest ramiona z zapalem wyciągnąć, aby w danej chwili to dostać: tę cnotę, tę zdolność, która ma się stać dla istnienia naszego skarbem i zasługą, rodzić czyny szlachetne, wyrabiać przymioty wzniosłe, być nam pomocą dla życia wiedzionego wtedy górnio. Ale nie... Ci pierwsi chrześcijanie, którzy w Rzymie Nerona potrzebowali być zawsze gotowymi na śmierć, mieszkali w katakumbach, aby żyć się z widokami śmierci i ofiary, nie strachać się grobu, nie trwożyć duszą przed jego ciemnościami, przed jego ciszą głuchą, i tak wszelki mąż wielki, wszelki bohater, który w chwili wiekopomnego czynu zdoła sobie wykrzesać z piersi gorącą iskrę świętego zapalu, który wobec niebezpieczeństwa dla drogi mu rzeczy w płomień skoczył, jak Brutus pierś rozdarł, dla świętej mu idei życie oddał, musiał sobie gromadzić przez lata całe zapasy, które teraz złożyły się na jego bohaterstwo.

Najpierw samolubstwo w sobie zabił: miłość siebie poddał pod rząd miłości jakiegoś wysokiego ideału, jakiejś sprawy dla ludzkości świętej, a potem wyrabiał w sobie zwolna hart ducha, któryby to nabyte w silnem ujęciu trzymał — zdolność działania mądrą i odważną, a karmiąc się myślą wzniosłą, nie schodząc nigdy i w niczem na poziom życia nędzny, nie dał się rozbudzić namietnościom lichym, któreby go obrały z sił, odwróciły wzrok jego od celu postawionego przed sobą. Pożądania najgorętsze, wzruszenia najwyższe jednej chwili nie starczą na wykonanie

rzeczy wzniosłej, jeżeli wzniosłość nie jest stałym stanem naszego ducha, bo iskra musi być w krzemieniu, aby ją zeń wykrzesać było można i każdy instrument wydać może głos taki tylko, jaki jest w śpiewnej jego duszy zamkniętym. Inaczej struna sforsonowana zgrzytnie tylko i pęknie.

Jest przysłowie hiszpańskie, że „dla odpadłej podkowy, więc dla jednego gwoźdźca, który się obłuźnił, ginie bohater“ i prawda to — czasem straszliwa! Aby dalekie ująć, trzeba wszystko blizkie w niewzruszonym porządku trzymać. Autorka amerykańska, Beecher Stowe, napisała książkę pod tytułem: „Małe lisięta“, oryginalny to był ten tytuł, ale jak prawdziwy! Drobne, małe wady, to w nas zamknięte zwierzątka żarłoczne: rosną zwolna, aż drapieżnie pożrą w nas wszystko, co tworzyć musi składową część cnot wielkich, a przedewszystkiem to prawdziwe ukochanie dobra, które jest zawsze jak wszelka miłość silna, zazdrosnem i wyłącznem. Kto dobro kocha rzeczywiście, tem ze złem się nie brata, ani w sobie, ani w innych go nie cierpi. Jest rzeczą ogólnie wiadomą i uznaną, że tam, gdzie opinia publiczna słabnie, gdzie dobry, choćby tylko dla konwensu, ścisła nieczystą rękę nędznie splamionego człowieka, tam ideał dobra zniżył się i zmałał, trzyma się już luźno nawet tych, co jeszcze na poziom złego nie zesli, i tak jest z człowiekiem w sprawie obrachunku z sumieniem jego. Kto ma gorącą miłość cnoty, kto sobie wyższy szlak drogi życia wytyka, ten każdą wadą dostrzeżoną martwi się i ponizonym przez nią się czuje; więc gniewnie, dumnie z duszy swej ją wyrwa, jak chwast szkodliwy. I biada temu, kto moralnego gruntu swej duszy tak nie piele: bo wchodzi on w sojusz ze złem, zle do przymierza z duszą swoją przypuszcza. Mówi on sobie, że to tylko wady małe drobne naleciałości życia, z których otrząsnie się w danej chwili, potarga je i poszarpie, jak te nici drobne, któremi liliputy śpiącego olbrzyma skrepować chciały. Tak! zerwie się i otrząsnie, od-

traci to precz od siebie, te rzeczy drobne... lecz nie pamięta, że we śnie pijanym obcieli Filistyni włosy siły Samsona, wydarli mu potem oczy, i ślepego olbrzyma uczynili poddanym swoim. Upija się tak nieraz człowiek mocny wadami mamełi i przystępują do niego rozmaite Dalile życia z nożycami okrutnymi, aby pozbawić zdolności oddziaływania przeciw złemu, aż nieszczęsny poddaństwo jego musi przyjąć, w służbę jego wejść, i skrępowany woli swej się wyrzec. Choćby najwyższa, najważniejsza godzina życia jego wybiła, choćby głosy najdroższych jego ukochań, wołały: — Chodź i stań przy nas, broń nas... drogi naszego pochodzenia toruj!... już on biedny—upadły i bezsilny, uczynić tego nie zdoła. Jeżeli w wysiłku rozpaczonym porwie się nawet — ofiarnie, miłostnie chwyci się oburącz narzędzia pracy, czy oreży walki, nawyknięcia stare podejść go i roz-zbroją pierwej, zanim to poczuć zdoła. Jest w historii nowożytny fakt okrutny: wódz nie umiał stanąć na wysokości swego zadania, bo zmałał, znędzniał przez kilkoletnie życie, które bawiły karty. Zatracił w sobie zdolność górnych myśli, zatracił w sobie zdolność krzepkiego czynu, zagasił, zasypał popiołem nędznych nawyknień żarzewie, z którego wyblęsnąłby płomień zapalu — iskra, która zatlewa się tylko u ognia uczuć gorących, serc nieostygłych.

A jest jedna jeszcze zasadzka na naszą dobrą wolę życia według wyższej, szlachetniejszej jego modły: omyłka wzroku, niedokładność spostrzegawcza. Wielkie czyny, wielkie cnoty budzą w nas zachwyt uwielbienia, ale obrazy ich dostają nam się już skończone w swej całości dobra i piękna etycznego. Otacza je w tej skończoności i oddali, w jakiej od nas zostają, pewien urok romantyczny, a łuna blasku od nich bijąca zacie- ra nam dla wzroku wszystkie ślady pracy, która je tworzyła: robotę wewnętrzną i zewnętrzną uczucia, rozumu—myśli przewodniej, która działała, wzbijając się nad przeszkody i trudności, — ofiary, jakie miała za podnózek. Zdaje nam się przez ułud tych sprawę, jakgdyby owe czyny, owe cnoty tak szczytne i nimbem jasności okolone, jak je widzimy na tle stosunków życia skończonych, wyskoczyły z ducha twórców swoich jak Pallas z głowy Zeusa — bogini mądra i doskonale stworzona w całym rynsztunku mocy swych i przymiotów—a błąd ten jest szkodliwszym, niż się to zdawać może na pierwszy rzut myśli. Zapalamy się miłostnie do powabu, jeżeli się tak wyrazić można, czynów wielkich poświęceń i heroicznego meztwa, cnoty dostojnie nieugiętego ducha, i stawiamy je sobie przed oczy, rozkochani w estetycznym wdzięku ich podniosłości, w natchnieniu górnym, które podnosiło bohaterów nad poziom życia pędzonego w tłumie popolitym. Krój na miarę Fidyasa stawa tu przed oczyma i cnoty tak widziane zdaleka, nie zdają nam się składać z tego, co dni powszednie przynoszą nam, jako pracę codziennego odrobienia potrzebującą. A jednak jest to, nietylko podstawa dla nich, ale ich część składowa.

Nam samym, naszej głębi moralnej, to daje najpierw grunt, na którym mogą jedynie rodić się stany ducha, uzdalniające do cnót wysokich, które nigdy nie powstają tam, gdzie niema dla nich odpowiedniego podkładu moralnego. Co może dać dla wielkiego dzieła miłosierdzia, dla zaspokojenia wielkich potrzeb swego ogółu mar-notrawca, który mienie posiadane po ulicach Paryża rozrzuci, według recepty Bismarcka topi je ohydnie w Monaco? Jakim aktem poświęcenia zapisze się w dziejach dobroczynności swego społeczeństwa elegantka, w gałgankach mieszcząca duszę, rozleniwiona, nieznająca potrzeb ludzkości, narodu, bliźnich swoich? Ale nietylko takich trzeba tu zostawić na stronie; lepsi od nich nie czują jak cnoty, uwielbiane zdaleka, i do których wyciąga się ręce z tęsknotą miłosną, mają pole otwarte tuż obok. Są dla drogiej nam idei prace codzien spełniać się dające, a przez które człowiek wyrasta na szermierza rzeczy najświętszych, spokojnie i cicho spełnianych. Ta matka, czytająca z dreszczem wzruszenia, z gorącymi wypiekami na licach, o Spartance, która wołała witać syna powracającego na tarczy, niż bez tarczy, niech go w aksamitne sukienki nie stroi, lecz

ducha mu hartuje!—myśl podniosła w nim tworzy, młodemu sercu bić każe dla rzeczy świętych, a będzie matką bohaterką swojego wieku: będzie dobrą, zasłużoną społeczeństwu matką, która spełni w pobliżu swoim tesame cnoty szlachetnego macierzyństwa, które ukazywały jej się zdaleka w apoteozie promiennej.

Taksamo chrześcijańskie ludzi braterstwo, tak samo idee wszelkie: wielkie idee, wielkie cnoty społeczne. W najmniejszym zakresie wykonywać je można, co nie zasługi wykonywającym nie ujmie, a dusze tak im podniesie, jak spełnionego obowiązku uczucie, jak przeświadczenie krzepiące, że do skarboni ogólnego dobra dorzucili swój pieniążek, spłacili swój dług obywatelskiej powinności.

Jest w tym zakresie cnót, mieniących się promieniście w oddaleniu, jedna na dział filantropii kobiecej przypadająca. Ubogiego opatrzyć, ciemnego oświecić, nad upośledzonym od losu litość uczuć: toż to wszystko nakazy ewangeliczne, dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego, które uświęcają i w doskonałości duchowej wykonywających je podnoszą. Otóż każda niemal kobieta z klas możniejszych, w rodzinie żyjąca, ma sposobność, tuż obok niej postawioną, spełniania cnoty takiej: ma obok siebie służącą, która tak mało, tak mało wie o świecie i ludzkości, o obowiązkach swoich względem Boga i godności własnej, względem społeczeństwa swego—i ona, ta stojąca obok, kobieta wykształcona, może, powiedziałabym: powinna, ciemności tego umysłu rozświecić, zacieśnione horyzonty tych myśli rozszerzyć, coś wiedzy, coś pojęć moralnych tu wprowadzić i najpiękniejszy pod słońcem uczynek dobry spełnić, bo światłem swojego ducha ciemności innego ducha rozświecić.

Postawmy to sobie na tym planie dalszym, w tem oddaleniu, gdzie już własny nasz interes znika a jest tylko postawiona na gruncie neutralnym cnota miłości bliźniego i obowiązków ludzkości: jaki to blask pada na taką dobroczynność, nie ciału, ale duchowi ludzkiemu świadczoną! Przyjaciółka pokornych i ubogich! Krzewicielka światła! Jasność w ciemności świecąca! Co to za godność, co za tytuł do chwały! Gdybyśmy też tak stawiać sobie zechcieli na oddalonych od codziennych życia zabiegów polach wszystkie nasze czyny i wszystkie do czynów sposobności, obrazy przypuszczalne naszego istnienia, jakże zmienione, zmniejszone lub zwiększające się do niepodjętych przed nas rozmiarów, przed wzrok-by nam występowały!

M. Ilmicka.

SĄSIEDZI

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY

napisała

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg).

— I stwórz tu cośkolwiek! wydobądź z siebie iskrę, rozdmuchaj ją w potężny płomień natchnienia! — Dokoła proza, najtrudniejsze warunki życia, oblane łzami, potem tych, których się kocha... Wymaluję chyba łan zmoczonej pszenicy, porastającej na pniu!

— Będzie to malarstwo realistyczne — odpowiada, uśmiechając się, blondyn. — Naturalizm w sztuce, czy sztuka w naturalizmie, to właśnie przedmioty, które obecnie bardzo popłacają. Zrobisz fortunę, rzucając się w ten rodzaj.

— Śmieję się, Janie — spokojnie nieco odpiera malarz. — Wiesz o tem dobrze, że pendzel mój nie

może się nagiąć do malowania sielskości, które zaludniają barany... Mnie potrzeba uniesień myśli, słońca, błękitu, blasku, przestworów!..

— Więc znajdziesz się raz tam, gdzie to jest, mój Teodorze — łagodnie odzywa się pan Michał. — Nie męcz się w bezpłodnych samotniach się i podrywach. Wiem, że jarzmo pracy, które my biedni prozaicy, dźwigamy z trudem, złamałoby twoją wrażliwą artystyczną naturę. Jedź-że do Włoch, jedź.

Młody malarz zatrzymuje się przy ojcu i patrzy w twarz jego z rozezuleniem.

— Pojechałbym już oddawna, gdyby nie ty, ojciec drogi!—odpowiada łagodnie. — Zal mi pozostawić cię tu samego wśród tych ciężkich zapasów. Pojechałbym spokojnie, gdybym zostawiał cię tu w warunkach pomyślniejszych, dostatnich... Lecz tak jak jest... będę mógł używać tam swobody, myśląc jak ty, stary, walczyć tu będziesz dzień po dniu, godzina po godzinie, z zalewającą cię falą kłopotów? — Gdybym przynajmniej wiedział, że masz tu obok Jana!

Czoło blondyna zasepia się.

— Wiesz, mój drogi, że i ja pozostać tu nie mogę — odzywa się z wolna, przygryzając zlekka jasnego wąsika. — Kilka miesięcy przesiadziałem już u was beczynnym i niepodobna mi dłużej trać czasu napróżno. Do gospodarstwa nie mam żadnego pociągu. Jest to moje przekonanie, że rolnik w naszych stosunkach nie ma przed sobą widoków exystencji. Na innej drodze możemy dobić się czegoś; na gospodarce staczamy się do upadku. Obrawszy sobie karierę inną, nie mogę zwłóczyć dłużej i muszę raz wziąć się do pracy. Mam przed sobą dużo, dużo pracy. Przed zimą muszę wyruszyć do Wiednia, wyrobić sobie miejsce przy ministerjum i studyować języki wschodnie. Rozlećmy się obaj w przeciwne świata strony.

— I tylko my we dwoje z tatkiem zostaniemy tutaj, na tym nieszczęsnym, porzuconym zagonie... — odzywa się nagle młody, dźwięczny głos z tyłu.

Rozmawiający obracają się żywo i spostrzegają stojącą w progu dziewczynę, którą widzieliśmy już w polu, na drodze. Zarumieniona upałem, zsunąwszy kapelusz na tył głowy, stoi oparta o drzwi, i oddychając szybko ze zmęczenia, patrzy ślicznymi, poważnymi oczyma na rozmawiających.

— My tylko dwoje z tatkiem—powtarza, postępując w głąb saloniku, głosem, w którym drga ledwie dosłyszana struna ironii. — Nie tegie tu wprawdzie siły, lecz cóż robić, gdy lepsi, mocniejsi robotnicy schodzą ze stanowiska? Wyście za wielcy, za dostojni na taką nędzną walkę na zagrodzie, choć to zagon rodzinny. Miejsce to nie dla geniuszów...

Spokojna twarz blondyna ożywia się, błękitne oczy ciemnieją i zapalają się w nich gorące błyski.

— Nam braknie potemu cierpliwości, Maryo!—dlatego właśnie, że będzie to zawsze jedno i to samo codziennie tłoczące jarzmo bez wytchnienia, bez widoków dokonania czegoś znaczącego wśród świata i ludzi — chodzenie w deptaku, zamknięcie się w kole nieustających trudów, męczarnia bez wyjścia,—zmarnowanie sił, zdolności i tego wreszcie ognia, który młodość raz tylko jeden zapala w piersi ludzkiej!

Młodzieniec wypowiada te słowa spokojnie, lecz z energią, stojąc przed piękną panną, w której twarz patrzy błyszczącymi oczyma.

Dziewczyna patrzy mu również oko w oko, uśmiechając się pół-szydersko.

— Dlatego wynosicie ten ogień dusz waszych daleko, na obczyznę, aby tam świecił i ogrzewał, podczas gdy tutaj stanie się ciemno i chłodno! Lećcież więc, lećcież, wędrowni ptacy! My z ojcem nie porzucimy naszego gniazda...

Twaz młodzieńca pokrywa się chmurą posępnego smutku.

— Ależ to, Maryo — ofiara nieużyteczna—mówi!—W takim stanie interesów trudno się ludzi jakakolwiek nadzieją... Nie zdołacie utrzymać się przy wiosce kosztem najgorętszego potu, życia nawet. Silniejsi nie zdołali się oprzeć. Zaniechajcie beznadziejnej walki, w której przepa-

dną i resztki pozostałego jeszcze mienia. Mojem zdaniem, należałoby sprzedać Polesie, póki można jeszcze wyciągnąć z niego choć trochę grosza. Za rok, za półroka, nie uratujecie nawet tyle!..

Dziewczyna siada na krześle, opiera łokcie na stole i patrzy pięknymi oczyma w mówiącego.

— Gdybyś jednak pozostał z nami, Janie, to przemożny nasz sąsiad spotkałby się w przeprowadzeniu swych planów z potężną zaporą... Teodor, to fantasta, miękka, choć ognista natura — i puścić go w świat można, w pogoń za ideałami. Lecz ty, ty, energiczny, mocny, rozumny pracownik, z twym majątkiem i silnymi dłońmi, zdałbyś nam się tu bardzo!

Lekki rumieniec oblewa czoło dyplomaty. — Najdroższa — mówi żywo — dlaczego chcesz mnie przykuć do tej smutnej, nieurodzajnej, jałowej roli?..

— Która jednakże tuczy każdego siedzącego na niej przybysza!.. — odpiera dziewczyna.

— Mam przed sobą pole szersze, wdzięczniejsze, na którym czeka mnie przyszłość jasna i piękna.

Młoda panna patrzy wciąż na niego słodkimi szafirowymi oczyma, zpod jedwabistej frendzli czarnej rżęsy.

— Niema dla nas przyszłości pięknej tam, gdzie nie czujemy pod stopą gruntu rodzinnej ziemi!..

Następuje chwila ciszy, w czasie której słychać z oddali głucho huk dalekiego grzmotu i tuż brzęk muchy, która, wpadłszy poza szybę otwartego okna, rozbija teraz rozpacznie głowę o niewidzialną zaporę!..

Jan zaczyna chodzić po pokoju, krokiem zniechęconego i zarazem podrażnionego w sobie człowieka. Artysta stoi przed obrazem, niecierpliwym ruchem zatapiając palce w gęste ciemne włosy.

Pan Michał kręci białe wasy, patrząc w zieleń ogrodu zamysłonemi oczyma.

— To fanatyzm! — odzywa się po chwili Jan, zwracając się do Maryi. — Nie można w tej kwestii dysputować z tobą... Według ciebie, chodząc tylko za plugiem, służy się krajowi... Tymczasem pracować dlań możemy wszędzie, mianowicie w kierunku, który sobie wytknąłem... ideę zaś miłości ojczystego kawałka ziemi człowiek inteligentny poniesie w piersi gorejącą na kraj świata!..

— Ach, idea!.. — wymawia dziewczyna, uśmiechając się pół-zartobliwie, pół-smutno. — Heż-to my posiadamy idei i jak idealnemi dążymy do nich drogami!

Dlatego-to stajemy się ludem tak idealnym, iż zapewne niedługo we wszechludzkości nie zostanie po nim żadnego śladu... Z gorejącą miłością w piersi, wyjedziecie jednak z odłużonej wioski, wydalicie się z tych ścian, dziadowską budowanych ręką, w których zaciasno waszym geniuszom... Niechaj się w nich gnieździ ten, komu tu będzie dobrze... Waszym domem świat będzie! — To wielkie i piękne! — Nasz artysta wymaluje gdzieś arcydzieło — stworzy coś olbrzymiego — zwracając uwagę Europy na siły niespożyte naszego narodu, zasilającego ustawicznie poczet sławnych znakomitości! Ty znów zostaniesz wielkim statystą, dyplomata! — Powierzaj ci misję wschodnią, położysz niesłychane zasługi w ucwilizowaniu Chin, Persyi, stworzysz nowy pogląd polityczny na stosunki międzynarodowe; gdy zabraknie ci tu roboty, pojedziesz do Afryki, zakładać tam uniwersytet!..

— To jest, pojedziemy tam oboje — przerywa, śmiejąc się, Jan. — Wiesz dobrze, że nie ruszę się ztąd nigdzie, aż porwę cię ze sobą. Nie dokonałbym nic wielkiego, gdybym nie miał przy sobie — mego szczęścia!..

Dziewczyna spogląda na niego jasnymi oczyma, w których promienieje razem głębokie roztkliwienie, ale błyszczą i niespożyta energia.

— W takim razie, nie rzucisz tego kąta nigdy, bo ja nigdy nie pójdę tam, będąc za tobą. Nie opuszczę biednej mej sadyby, której bronić będę choćby ostatkiem siły. Zrobię wszystko, gdy będzie potrzeba, odzieję się w samodział i pójdę w pole do pracy, jak prosta robotnica... i jeśli nie

padnę, wywalczę dla was szmatek smutnego ojczystego zagona... który zachowam... bo nareszcie, gdy już zdobędziecie wszystko, gdy będziecie wielkimi i sławnymi, i obrócić się poza siebie, mogłoby wam zbraknąć rodzinnej strzechy do skłonienia głowy na odpoczynek. Moglibyście nie znaleźć stopy własnej ziemi, by złożyć na niej laury zdobyte, rzucić na nią promień otaczającej was chwały! — Stalibyście się takimi Ahaswerusami wyklętymi, błakającymi się bez celu po wszystkich szlakach! — Moglibyście kiedyś zapytać siebie: — POCO przebiegliśmy świat od bieguna do bieguna? — dla kogo napracowaliśmy się tyle?

— Pozostaną wreszcie dlatego, byście tu mieli wierne serce, któreby ciągnęło serca wasze wstecz, za siebie, do tego prozaicznego pszenicznego łąnu, w którym właśnie leżeć powinien środek ciężenia dla wszystkich serc leniwych, bałamutnych.

— Oh, ten łąn pszeniczny! — ten łąn pszeniczny! — odzywa się od okna markotnie pan Michał. — To ziemia rodzinna, ale cóż gdy klęski tylko wiszą nad nią!.. Patrz, Maryo, wiatr się zrywa od wschodu i pędzi chmury ku południowi. Gdybym miał być od rana choć kilku robotników więcej... Gdybym miał teraz jeszcze choć cztery pary dobrych rąk ku pomocy, zdołałbym może jeszcze sprzątnąć tę nieszczęsną pszenicę przed ulewą.

Dziewczyna zesuwa dłonie z ramion narzeczonego, i zwraca się do ojca wesoło:

— Cztery pary rąk?.. — Tylko tyle potrzeba ci do szczęścia, tateczku?.. — Zaraz będziesz miał ich tu trzy pary, które pracować powinny za drugie tyle. Dalej, mości ministrze, zanim piastować zaczniesz tękę Bakundzkiego państwa, weź kapelusz na uczoną głowę, i zawiń rękawy twego fułarowego żakietu! — A ty, artystko, porzuć pendzle, i w pole!.. — jeśli nie chcesz, aby twój malowany niewieści ideał, jeśli to ma być Polka, uśmiechnął ci się z płótna szydersko. Ja, pospolita mrówka robocza, naturalnie, z wami! — A jeśli nie sprzątniemy zboża do nocy, nie jesteście dziećmi, zasługującymi jeść chleb z poczciwego zagona ojca!

Powiedziawszy to, młoda panna kładzie napowrót kapelusz na głowę i wychodzi; dyplomata z malarzem, śmiejąc się, idą za nią.

W obszernym, zieloną brokatelą obitym salonie, w południowym skrzydle pałacu spoglądającego dumnie z góry na czerwieniejące zdala mury przemysłowej rezydencji barona, zebrała się cała rodzina hrabiów... właścicieli tej pańskiej posiadłości.

Sam dziedzic, głowa domu, wraz z synem najstarszym siedzą przy wielkim, ustawionym na środku salonu stole, okrytym kosztownym perskim dywanem. Jest to człowiek lat pięćdziesięciu, wysoki, zbudowany silnie, opięty z pewną wojskową surowością w surdut czarny, w którego dziurce jednej czerwienieje strzępek wstążeczki orderowej. Ma on w sobie coś wybitnie pańskiego i nosi na maskularnej szyi dobrze osadzoną głowę o rysach poważnych, otwartych, nieco surowych, lecz rozumnych. Ruch tej głowy, gdy podnosi ją w górę, jest charakterystycznie dumnym, a całość postaci czyni wrażenie chłodno imponujące.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu, młodszy hrabia niebardzo przypomina ojca. Mały, szczupły, żółty na licu, brunet, z niskim czołem i krótką twarzą, wśród której starczy niewielki zadarty nos, ma on w fizjonomii wiele sprytu, ironii, ale brak jej dumy, otwartości cechującej twarz ojca. Wielka ruchliwość rysów, w połączeniu z przenikliwym spojrzeniem niewielkich szarych oczu, czynią całość tej fizjonomii niezmiernie ożywioną, co nie znaczy przecież weale aby miała być sympatyczną.

Obadwaj pochyleni są nad wielką mapą Rumelii, Serbii i Bulgaryi, rozłożoną wśród masy papierów, którą studyują w głębokim milczeniu, zaznaczając niektóre punkta kolorowymi ołówkami, wytykając drugie srebrnymi śpilkami. Nieopodal, na tureckiej otomanie, pokrytej wschodnią makatą, spoczywa, w pół leżąc, młoda panna, lat dwu-

dziestu, córka hrabiego. Ciemna szatyna, niebiesko-oka, może uchodzić za bardzo piękną. Wysoka, zbudowana kształtnie, twarz ma owalną, pełną, świeżą, ożywioną śmiałością jasnymi oczyma, nieco zuchwale patrzącymi z pod ciemnej brwi, zarysowanej energicznie, i dumnymi różowemi ustami, zaciętymi w uśmiech lekkiego szyderstwa i lekceważenia. Hrabianka, wyciągnięta z pewnym leniwym wdziękiem na sofie, snadź czytała przed chwilą, bo stos gazet zesunął się z jej kolan i leży u stóp jej na posadzce. W tej chwili przecież wodzi oczyma, z niemą, bezmyślną zadumą po ścianach salonu, zapijając zwolna z chińskiej filiżanki herbatę, którą lokaj w kosztownej liberyi nalewa ze srebrnego samowara, umieszczonego w rogu salonu na marmurowym stoliku.

Przy wielkim oknie, otwartem na piękną terasę której kamienne ściany podpierają porfirowe sfiny, a bujnie oplata — bluszcz i wino, — wsunięty niedbale w głęboki fotel, siedzi najmłodszy syn domu. Jestto wysmukły chłopak, lat siedemnastu, silny, smagły, składny.

Biała płócienna bluza, przepasana prostym skórzanym pasem, okrywa młodociane, lecz silne jego członki, nie krępując swobody szeroko rozwijającej się piersi. Rysy twarzy, delikatne jeszcze, bo młode i pełne życia, tryskającego z wielkich błękitnych oczu, przypominają najwięcej rysy ojcowskie. Nos ściągły, łączący się równolegle z wyniosłym czołem, które otacza bujny kasztanowaty włos, energicznie zarysowana broda, usta świeże, uśmiechnięte łagodnie, czynią przy smagłej, ogorzalej cerze fizjonomią chłopca piękną i pociągającą.

W tej chwili założył ręce na kolanach i zasunięty w krześle, spogląda z zajęciem na szeroki sielski krajobraz, rozłożony poza tarasem. Widać ztąd, jak na dłoni, okolicę całą, czerwieniejące zdala na wyniesieniu mury posiadłości barona, łąki pola w dolinie, i przytulony do lasku dwór pana Michała z łąnem pszenicznym, dochodzącym tuż nieomal pod wzgórze i ogród pałacowy.

W salonie panuje najdoskonalsza cisza. — Przez otwarte okna napływa szeroką falą duszne, upalne powietrze, mieszające się z aromatem chińskiego napoju, buchającym kłębem pary ze srebrnego samowara.

Mężczyźni, pochyleni nad mapą, pograżyli się w swej pracy tak głęboko, że nie zważają nawet na herbatę, którą im postawił wśród papierów na stole służący. Czasami z ust ich wyrwywają się tylko pojedyncze wyrazy:

— Północna granica Bulgaryi — Sofia. — Ak-Palanka... zachodni kraniec Rumelii... — świadczące jak dalece zajęcie, któremu się oddają, pochłania ich zupełnie.

Milczenie przerywa nagle żywy ruch siedzącego przy oknie chłopaka, który gwałtownie zrywa się z krzesła.

— Co się z tymi biednymi Łaszczami dzieć musi! — woła żywym dzwicznym głosem. — On sam, obaj młodzi i panna są tam w polu, i pracują narówni ze źniwiarzami. Zbierają snopy!..

— Gdzie? — co?.. — zapytuje jeszcze żywiej hrabianka, powstając z sofy i podchodząc do okna z filiżanką w ręku.

— A ot, widać ich wybornie! Patrzę już na to od dwóch godzin; myślałem z początku, że to tylko zabawka. Teraz widzę, że byłoby to za długo na rozrywkę, a przytem dla rozrywki się nie pracuje — nie tak się śpieszy. Trzeba przypuścić, że to robota na prawdę!

— Rozkoszna fantazja, przy dwudziestu pięciu stopniach ciepła, i powietrzu, które ciśnie jak ołowiem! — odzywa się szyderczo starszy brat, siedzący przy stole.

Stary hrabia podnosi także głowę spoglądając przez okno w stronę Polesia.

— Zdaje się, że to zabawka z potrzeby, — wymawia poważnie. — Odgaduję ja w tem rękę barona. Ten człowiek wziął biednych Łaszczów w formalne obłężenie. Odbiera im wszelkie środki ratunku, dając stale do wypędzenia ich z wioski. Wiem, że Łaszcz od tygodnia poszukiwał robotnika; burza wisi tylko, lada chwila luną potoki deszczu; więc w braku rąk wyszli sami w pole... Ratuja się... ratują, jak mogą!..

— Biedni, biedni ludzie! — wymawia półgłosem hrabianka. — To jednak okrutna rzecz: czuć się tak systematycznie przyduszonym przez silniejszego wroga. Ach! taki sąsiad!..

Starszy brat podnosi od papierów oczy i spogląda ironicznie na mówiącą.

— Oo!..—woła!—Widzę ja, Geniu, że w twem dziewiczym sercu poczynają się budzić sympatyje dla tych uciśnionych... Czy tylko litość ta nie wiąże się z czemś żywszem i z czemś odnoszącem się do pięknego malarza, którego, jak wspomniałaś—spotykasz niekiedy podczas swych kounych wycieczek?.. Będąc na miejscu ojca, zabroniłbym ci jeździć w tamtą stronę.

Na poważnej twarzy hrabięgo zjawia się wyraz lekkiego niezadowolenia.

(Dokończenie nastąpi).

Z NIEŚMIERTELNYMI.

With the Immortals by F. Marion Crawford.

(Ciąg dalszy ob. № 36).

— Zatem *Iliada* jest romanssem? — spytała bawczo Guendolina.

— Jest, i wspaniałym romanssem, ze wspaniałym bohaterem, i w tych wspaniałych czasach, które bohaterskiemi zwiemy, a napisano ją przepysznym wierszem. Romans nowoczesny jest eposem wyróżnionym do ostatniej małości. Tomek jego bohaterem, Sara Jane heroiną, a mały domek z zielonemi żaluzjami i żelaznemi sztachetkami—widownią wypadków. Ale Tomek i Joasia kochają się prawie taksamo, jak Achilles i Bryzeida, a są owiele od nich szczęśliwsi. Jeżeli w małym domku pod nieobecność Toma pożar wybuchnie, a on zdąży jeszcze przybiec na miejsce rzucić się, w płomień i wyrwać z nich Joasię, z utratą jedynie brwi i brody, które mu się opalą, — no, i z narażeniem życia, — będzie wtedy tak dobrze bohaterem, jak Achilles, kiedy, przywdziałwszy nową swą zbroję, szedł zabijać Hektora i innych Trojanów.

Po chwili poeta dodał: — Człowiek bowiem nie więcej nad to uczynić nie może, jak gdy życie swe odda z rozwartemi oczyma na zbawienie tego, co kocha, — czy będzie Tomem, czy Achillem. Istotą romantyzmu jest coś, co w naturach samych ducha wywołuje jaknajsilniejsze przymioty ducha; wszystkie bowiem potężne czyny zajmują nas, a jeżeli przytem jeszcze są dobre, to wprawiają już w podziw. Ilekroć zaś te dobre czyny idą na pożytek miłości, albo tego, co nazywamy honorem, albo też na wyzwolenie narodu spod jarzma, — uderzają nas jako romantyczne.

— Ponieważ — dorzucił August — wszystkie te rzeczy ściśle są związane z romanssem nowożytnym od jego pierwocin. Rycerz średniowieczny był uosobieniem miłości, honoru i patriotyzmu.

— Przytem i dlatego, że są to uczucia najgłębiej odczuwane przez serce ludzkie, i naprzekór wszystkiemu, czego może dokazać realizm, dzieje miłości, honoru i patriotyzmu zawsze i aż do skończenia świata zwracać się i przemawiać nie przestaną do każdego, kto ma duszę. Realisci, ma się rozumieć, mówią, że niema duszy i że miłość, honor, patriotyzm, są tylko wartościami umownymi, konwencyonalnymi, jak konwencyonalni są również pojęcia o wszelkim złem i dobrem. Ależ postępkami ludzkie mogą być złemi, a jednak nie tracą charakteru czynów romantycznych, tam, gdzie przedmiotem powieści będzie miłość, a dostarcza ona najpowszechniejszego do romansu przedziwa i ludzie uparli się, aby ją ukazywać w jaknajwiększej rozmaitości zjawisk życia. Zła czy dobra, zawsze ona zajmuje. Współczucie nasze dla

pięknego Rozamundy jest, conajmniej, równie wielkie, jak to, które uczuwamy dla Anny Boleyn.

— Zdaje mi się, że jesteś, poeto, niesprawiedliwym dla realistów — rzekła Guendolina. — Nie zgodzę się na to, aby książki realistyczne zawsze tylko wzbudzały odrazę.

— Nie, ale są one najpodatniejsze do tego. Z geniuszem Goethego można być realistą, nie będąc odpychającym; ale sam Goethe już powiedział, że nazwanie rzeczy złej *złą*, nie stworzy jeszcze dobrej, gdy tymczasem nazwanie rzeczy złej dobrą może wyrządzić niezmierną krzywdę. Wielu realistów właśnie podaje złe za dobre.

— Tegosamego dopuszczają się i romantycy — zarzuciła Guendolina. — I nie zdaje mi się, abyśmy się zbliżyli do poznania tego, czym jest rzeczywistość romantyczna. Owa cudnie piękna kobieta twoja, poeto, ta brunetka z oczyma jaśniejącymi jak gwiazdy, nie zadawalnia mnie.

— Zdaje mi się, że będę mógł określić romans po przychyleniu się do wszystkich państwa — odezwał się Szopen, który od pewnego czasu już milczał. — Własna moja definicya stosowała się do muzyki, ale może być rozszerzoną. Przedewszystkiem romantyczność zawiera się w asocjacji pewnych wyobrażeń z pewnymi ludźmi, w rzeczywistości czy zmyśleniu. Ludzie muszą należeć do takiej rasy istot, którą dostatecznie znamy, abyśmy mogli rozumieć ich namiętności i współczuć z nimi. Idee nasze muszą się wiązać z wyższymi popędami miłości, patriotyzmu, szlachetnej nienawiści, głębokiej melancholii, boskiej exaltacji i tym podobnymi. Niższe namiętności w romansie spychane są niżej, na tradycyjnego człowieka z gminu, który służy bohaterowi za kontrast. Streszczam to wszystko i mówię, że nasz zmysł romantyzmu deznaje pobudzenia przez zrzeszanie wyższych namiętności, złych i dobrych, z ludźmi, których możemy rozumieć, i w taki sposób, abyśmy wraz z nimi i stany ich duchowe odczuwać mogli.

— Nie spodziewam się, żebyśmy dalej zajęć zdołali — rzekł August. — Teorya ta tłumaczy nam, dlaczego uważamy Alexandra za charakter romantyczny, a Cezara nie. Alexander był zawsze pełen wielkich namiętności, złych lub dobrych; Cezar zaś spokojny, nieczuły, wyższy nad wypadki. Alexander spalił całe miasto dla przypodobania się kobiecie; Cezar w miłości kobiety znalazł pozor do podbicia jej królestwa i zepchnął królową, która go kochała, na stanowisko holdowniczki. Kleopatra była romantyczką, ale nie miała szczęścia w wyborze ludzi. Gdy Cezar legł pod nożem morderców, odarta przez niego, zamordowała swego męża; Antoniusz zabił się dla niej, aż wreszcie ona sama zakończyła całą tragedję, zabijając się znowu dla Antoniusza, gdy syn jej z Cezara poszedł na łup śmierci. Jest z czego wytworzyć cały tuzin romansów — z tego jej życia, ale gdyby była tylko wytworem imaginacji, powiedzielibyśmy, że historia jej jest niedorzeczną, niemożliwą. Tymczasem ponieważ była istotą rzeczywistą, historia jej jest romanssem o straszliwych rozmiarach.

— Ja sędzę, że i Cezar był aż zanadto romantyk — rzekła Diana. — Był tylko za wielkim na romans, wtedy, gdy świat podbijał; ale innym musiał być w swej młodości....

— O, zupełnie innym — zabrzmiał dźwięczny głos w jednym z wielkich okien zamku.

II.

Pod oknem stał w blasku księżyca człowiek zapatrzony w głąb' pokoju. Jego wyniosła choć szczupła postać owinięta była w ciemny płaszcz z ciężkiej materji. Zwoje płaszcz odbijały w sobie promienie księżyca z purpurowym odblaskiem i okrażający silny kark zwieszały się z ramienia ku ziemi. Na bładem wysokim obliczu ciemny wieniec z dębowych i laurowych liści ponad brwiami wyglądał jak korona królewska. Nos orli szeroko w nozdrzach rozwarty, ale ścięty prawidłowo i delikatnie zarysowany, nadawał jego twarzy wyraz wyższej, głęboko-rozumnej siły, a wzmacniało go jeszcze wrażenie, jakie sprawiały kształtne, pięknie wyrzeźbione usta i wystający kwadratowy podbródek. Oczy miał sil-

nie czarne, ale bez blasku. Były to oczy tego dziwnego typu, w którym trudno jest odróżnić soczewkę od otaczającej ją tęczówki.

— To Cezar — rzekł August jednym tchem, wstając na powitanie nowo-przybyłego.

— Tak, jam Cezar — odpowiedział spokojny głos zmarłego zdobywcy. Wielki człowiek postąpił naprzód i stanął w pośrodku zebranych. Światło lampy oświeciło jego wielkie oblicze.

— Mówiliście o mnie, a ja byłem blisko i słuchałem. Nie boisz się dotknąć ręki umarłego? Nie? Cóż porabiacie?

Ręka, którą wyciągnął, była długa i nerwowa i biała, a zdawało się, że palce mają siłę i sprężystość stali.

— Czy to sen? — zapytała Diana cichym głosem, zwracając się do Heinego. Poeta westchnął:

— To wy jesteście dla nas jak senne widziadła, — odrzekł łagodnie: — My jesteśmy rzeczywistością, snu nie znającą rzeczywistością śmierci.

— Tak, jesteśmy istotami prawdziwie realnymi — pochwyił Cezar, siadając w wysokim rzeźbionym fotelu, który mógł niegdyś służyć za tron dla cesarza, i zwołna rozglądając się po obecnych: — Mówiliście o życiu mojem. Powiedzieliście, że nie miałem charakteru romantycznego. Nie śmiecie się, że używam tego wyrazu. Przez dziewiętnaście wieków wędrówek moich nauczyłem się mówić i o realistach i o romantykach. Sam romantykem nie byłem. Czyżby nawet Homer mógł z życia mojego wytworzyć epeję? Nie sędzę. Homerowi dopomagały tradycje, a Wergiliusz miał i Homera i tradycje. Zadaniem życia mego było wywrócenie wszelkich tradycji i rozpoczęcie nowej ery świata. Byłem nawskroś człowiekiem owych czasów; byłem żywym źródłem realizmu. Obywałem się bez mytów. Romans zakwitał właśnie wtedy, kiedy to, com ja wytworzył, w proch się sypało. Ducha romantyczności nie było za moich czasów, jakkolwiek cześć ludu dla przodków była wtedy nawet ogromną, a w Rzymie roilo się od przeróżnych podań. Tylko przez nadużycie wyrazu można nazywać romantycznym coś, co się wydarzyło przed upływem dziesięciu wieków po mojej śmierci.

Żywi powstrzymywali oddech, kiedy mówił Cezar, a od łagodnego brzmienia jego głosu drżało jeszcze ciche powietrze. Upłynęło chwil kilka i nikt nie dawał odpowiedzi; nareszcie Szopen zwrócił delikatną twarz swą ku imperatorowi rzymskiemu.

— Dziewiętnaście wieków! — zawołał — Ah! Czarze, czemu nie mogłeś żyć przez cały ten czas! Byłoby więcej wolności na ziemi.

— Świat cały byłby wolnym! — dodał zmarły zdobywca głosem pełnym smutku. — Wierzyłem w jedność, nie w rozczłonkowanie; chciałem tworzyć, nie niszczyć. Serce mi się kraje, gdy widzę świat podzielony pomiędzy narody, kiedy ja chciałem go, — cały, jak był, — oddać jednemu tylko narodowi.

— Każdy człowiek indywidualny jest sam dla siebie światem — rzekł Heine — światem, który z nim się począł i z nim umiera, i pod każdym kamieniem grobowym spoczywają dzieje świata.

— Niech i tak będzie, ale światem dla mnie jest mój kraj — odparł Szopen.

— Dla mnie zaś cały świat istot żyjących — odrzekł poeta.

— To i wtedy jeszcze świat Saint Simona nie będzie podobnym do świata Cezara....

— Tak, ale ja z zajęciem śledziłem rozwój doktryn saint-simonizmu. Upadły one, jak wszystkie ruchy socjalistyczne, i zawsze padać muszą i będą aż do skończenia świata. Zwolennicy Saint-Simona, a przynajmniej większa ich część, zamyślała znieść małżeństwo i porzywała się na wynalezienie nowej religii. Nie łatwy to wynalazek, jeśli ma ogarnąć znaczny obszar cywilizacji, a nie było jeszcze większej gromady ludzkiej, któraby chciała wyrzec się instytucji małżeństwa. Żądza wzbogacenia się bez pracy, zaprzeczenie religii i upośledzenie kobiety podkopywały zawsze wszystkie systemata socjalistyczne. Nie podobna rządzić ludźmi inaczej, jeno broniąc bezpieczeństwa własności, podtrzymując istniejącą formę religii i wymuszając surowe poszanowanie

dla instytucji małżeństwa. Doktryna Saint-Simona nie utrzymałaby się nawet wtedy gdyby pozwalała na małżeństwo; pozostałby zawsze podział własności, a prowadzić go do nieskończoności nie podobna. Ale same już tylko zniesienie małżeństwa wystarczyłoby do wywrócenia wszystkich zamysłów. Dostrzegam w świecie nowożytnym wiele narodów — każdy z nich ma własną swoją, odrębną od innych formę rządu. Jako kamień probierczy do każdego narodu zastosujcie powyższą kwestyę ustalenia własności, religii i małżeństwa, a będziecie mieli zarazem i miarę jego pomyślności. Niema na świecie państwa, w któremby było tylu anarchistów, ilu ich jest w Niemczech, a ci zasypują ustawicznie źródła narodowego bogactwa i podkopują instytucję małżeństwa. Biorą się dobrze do roboty. Jeżeli się Niemcy nie odrodzą religijnie, to w krótkim czasie już skończy się ich przewaga w Europie.

— Jestto nowa idea — rzekł August Chard.

— Nie sądzę — odpowiedział Cezar z łagodnym uśmiechem. — Jest ona chyba przynajmniej już tak starą, jak ja. Ale rzućmy jeszcze okiem na Europę: który naród jest najbardziej kwitnącym? Anglia. Pomimo mnóstwa popełnionych błędów, mnóstwa waryackich i bajecznie kosztownych wojen, pomimo wielu nieudolnych mężów stanu i rozpustnych monarchów, którzy często tym krajem rządili, pomimo wojen domowych — świeckich, które wywracały jej rządy, i religijnych, które zmieniały w niej dynastye, — pomimo szczupłości oryginalnie upostaciowanego terytorjum, surowości klimatu, nieurodzajności gór szkockich i gnuśnej nędzy chłopów irlandzkich: pomimo to wszystko Anglia jest w Europie nowoczesnej krainą największej pomyślności.

Przyłóżmy powyższy probierz. Jest-że w Europie inny kraj, gdzieby własność doznawała lepszej opieki, religia istniała jako fakt powszechniej uznawany, a umowa małżeńska równie skrupulatnie była dochowywana? Zapewne nie. Spójrzcie na swoich sąsiadów, choćby na Francją, albo na Włochy, okrzykane za wolne.

Religia jest w nich tylko tolerowana, małżeństwo, co prawda, szanowane, ale własność indywidualną pożerają długi państwowe. Niema pomyślności w tym kraju. Włochy są narodem w upadku, nie ze swej własnej winy, bynajmniej — ale wskutek potęgi samych okoliczności. Jak może być szczęśliwym człowiek, któremu głowę obłożono lodem, a nogi pograżono w wodzie gorącej? Trzeba mu nogi ochłodzić, a głowę ogrzać i nie przystawiać pijawek odrazu po całym cieple. Jeżeli człowiek ma mało krwi, nie trzeba mu jej puszczać dla pokazania, że ma jej dużo jeszcze w żyłach.

— Narody cierpią zawsze, gdy się w nich dzieją wielkie jakieś przemiany, nawet gdy są dla jego dobra — zauważył Heine.

— Jestto zasada, którą się zaślaniało dla usprawiedliwienia wielu krzywd — odpowiedział Cezar — a nie zawsze jest ona prawdziwą. Naród nie powinien przez lat dwadzieścia cierpieć za to, że go zjednoczono. Przez dwadzieścia lat miało już czas wyrosnąć nowe pokolenie, a jeżeli zmiana była istotnie znaną na dobre, to ci młodzi powinni zastać już lepsze warunki istnienia, niż mieli ich ojcowie.

Od dwóch tysięcy lat wpatruję się w świat i dzieje całego tego okresu pokazywały mi, że po każdej zmianie na dobre prawie bezpośrednio następował wielki wzrost pomyślności. W ciągu prawdziwie niewielu lat po mej śmierci panowanie Oktawiana Augusta zaćmiło wszystko, co było przed nim, i pod niejednym względem nawet to, co miało być po nim. Powtórne złączenie państwa pod Karolem Wielkim dało bajeczny popęd do wzrostu pomyślności. Nawet założenie dziesięcioletniego państwa niemieckiego w krótkim czasie sprowadziło wielki rozwój. Anglia stała się potężną już w czasach Wilhelma Zdobywcy; wzrosła w pomyślność i znaczenie podczas wielkich przewrotów dokonanych przez Elżbietę; zrobiła znowu wielki krok za Wilhelma III, a dosięgła szczytu pomyślności i wpływu wkrótce po zaprowadzeniu wolnego handlu, co było jedną z największych zmian, jakie kiedykolwiek wprowadzono do polityki. Weźmy oto olbrzymią Rzeczpospo-

litą Amerykańską. Niewiele lat temu jeszcze rozdzierana srogą walką w domowej wojnie, w tej chwili jest ona chyba najbardziej kwitnącym narodem na całej kuli ziemskiej. Nie wierzę w to, że wielkie przewroty, jeżeli są dobre, muszą szybko za sobą sprowadzać wzrost powszechnego dobra. Nie było tego we Włoszech i nie zanosi się na to, aby być mogło. Przeciwnie, ziemia tu coraz mniej jest uprawiana, ludzie w ogromnej liczbie opuszczają kraj, a ci, co zostają, muszą płacić podatki dla podtrzymania złudnego kredytu, którego wartość istnieje tylko w imaginacji. Najlepsi król, najlepsi politycy, najlepsze nawet skłonności w ludzie nie zamieniają tysięcy mil kwadratowych, zajętych przez nieurodzajne skały, w żyzny ogród, ani też nie nadadzą krajowi, niewielkiemu i biednemu, mocy do zniesienia budżetowego brzemienia wielkiego państwa.

Zmarły mówił o ojczyźnie swojej spokojnie, ale ze smutkiem. Czuł, że on jeden miałby siłę do zapelnienia tej przepaści, która zaległa pomiędzy jego dniami a chwilą obecną; czuł przytem, że chociaż był Cezarem, innym trudno było w te jego siły uwierzyć. W komnacie zapanowała cisza; wielka tarcza księżycy wzbila się wyżej i w promieniach jej białe płyty terrasy zamkowej jaśniały już teraz jak śnieg, podczas gdy tam w dole, na morzu, szeroki szlak światła mienił się, jak rzeka z pereł...

Naraz powiał prąd zimny. Trzej zmarli w milczeniu powstałi, wyszli z pośrodku żywych i pograżyli się w mrok przeczudnej nocy.

— Byliśmy we śnie — rzekła z westchnieniem Lady Brenda; podniosła się i zapatrzyła w przestwór.

(Dokończenie nastąpi.)

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Września, 1889 r.

Jeszcze Szach Perski. — Jego wstąpienie do windowania się w górę. — Balon i wiersze. — Wyjazd. — Uroczystość w Panteonie. — Przeniesienie zwłok: Carnota, generała Marceau, hr. La Tour d'Auvergne'a i Bodin'a. — Uroczystość otwarcia nowej Sorbonny. — Delegacje uczniów cudzoziemskich. — Przedstawienie urządzone dla nich w Wielkiej Operze. — Posłuchanie pożegnalne w Pałacu Elizejskim. — Pani Carnot Słowa i czyny. — Wrażenie wyroku na Boulanger'a. — Śmierć Felixa Pyat'a. — Prybycie Edisona. — Zbyteczne reklamy. — Przyrzady i doświadczenia edisonowskie na wystawie. — Jeszcze słowo o Jury nagród. — Kongresy i ich liczba. — Bankiet Merów Francji w Pałacu Przemysłowym. — Kongres Straży Ogniowej międzynarodowej. — Strażaczki.

W kronice lipcowej mówiłem już o przyjęciu, jakie wyprawiono szachowi perskiemu. Jak widzieliście, nie szczędzono ani świec, ani pieniędzy. Choć żiło o pokazanie, że Rzeczpospolita umie oddać hołd należny koronowanym głowom i że się zna na tem, co to jest *suum cuique* w zastosowaniu do życia i jego warunków, tak dla jednostki, jak i dla ogółu.

Ponieważ sami praktykowaliście Nasr-ed-Dina, więc znacie go na wylot. Nie będę wam już powtarzał, z jaką łatwością przyjmował tu wszelkie propozycje, byle go one nie kosztowały; był niezmiernie i niezłyty. Wszędzie go było pełno, i tę prawdziwą lokomotywę ludzką trzeba było powściągać, a nie zachęcać do biegu.

Dwóm tylko oparł się propozycjom: nie chciał wywindować się na wieżę Eiffela, ani też wsiąść do balonu, chociaż ten jest na uwięzi. W jednym jak w drugim razie — wysłał na próbę swoich ministrów i dworzani, a sam na dole czekał, jak się próba powiedzie.

Najzabawniejszą była scena, która się odegrała przy balonie. Na pożegnanie d. 9 Sierpnia, w wigilię wyjazdu, udał się najjaśniejszy szach o wpół do 2-iej w aleję Klebera, gdzie obecnością swoją zaszczycił puszczenie najpierw wolnego balonu, w którym zajął miejsce sławny aeronauta

Godard z jednym tylko towarzyszem podróży, a następnie dał błogosławieństwo kilku osobom ze swej świty, pozwalając im, a nawet rozkazując, wsiąść do kolebki *balon captif*. Dla samego siebie zostawił tylko przyjemność prowadzenia korespondencji nadpowietrznej zapomocą telefonu.

Aby mu uprzyjemnić chwile oczekiwania powrotu, puszczonego tak z wiatrem dworaków — Francuzi, zawsze pełni wynalazków, dali mu usłyszeć deklamacyę wierszy pośła Clovisa Hugues'a przez pannę Derlaincourt. Wiecie już z doświadczenia, jak słabo władza językiem francuzkim król królów. Nie trzeba się więc dziwić, że nie zrozumiał, nie z tego, co mu recytowała ta panna, splunął swoim zwyczajem kilka razy i zwrócił się do stojącego tuż autora:

— A więc, jesteś W Pan królem francuzkim w tej chwili? — rzekł, czyniąc alluzyę do jego poselskiej godności.

— Nie — odpowiedział skromnie poseł marsylski — jestem tylko posłem.

— Tak, ale czy będziesz nim zawsze?

— To będzie zależeć od moich wyborców, na przyszłej elekcji.

Wtem balon, wiozący dworzani, wrócił na ziemię i jasny pan — jak to ma zwyczaj — zwracając się krótko na miejsco, opuścił bez pożegnania przyjemną kompanię.

Nie będę się wdawał w opisy peregrynacji króla królów. Jest to prawdziwy wszędobylski; ale, że wszystko tu musi mieć swój koniec, więc po dziesięciu dniach bezustannego ruchu, Nasr-ed-Din opuścił Paryż — zostawwszy po sobie niemalą kolekcycę pięknego orderu Lwa i Słońca. Wiać, jako, jak za orderami przepadają Francuzi.

Ten pobyt szacha perskiego tak zaprzętał umysły Paryżanów i zapelniał łamy ich dzienników, że wiele rzeczy prześlizgnęło się nie zwracając na siebie uwagi. Nawet tocząca się przed wyjątkowym sądem sprawa Boulanger'a pozostała trochę jakby na drugim planie — a co daleko ważniejsza, otwarcie przebudowanej świeżo starej Sorbonny, otwarcie, w którym przyjęli udział liczne cudzoziemskie deputacje, młodzieży akademickiej, nie znalazło dostatecznego rozgłosu, równie jak i panteoński pogrzeb.

D. 4 Sierpnia, o godzinie pół do 10-tej zrana, odbyła się ceremonia przeniesienia do Panteonu zwłok Carnot'a, Marceau, La Tour d'Auvergne'a i Baudin'a. Cały ten obchód i pochód miał raczej pozór świąteczny a nie żałobny; pomimo całunów i czarnych zasłon, które powiewały pod kolumnadą Panteonu, wszystko to wydawało się za chudem, za szczupłem w stosunku do ogromnych rozmiarów frontonu świątyni. Zresztą sama dekoracya ulicy Soufflot i Placu Panteonu, strojna w trójkolorowe sztandary i chorągwie, słońce, co świeci pogodnie, muzyka, która przygrywa wesoło — wszystko zdaje się zachęcać do spokojnego i filozoficznego zapatrywania się na ceremonię.

O godzinie pół do 10-tej, *punctum*, podczas, gdy wystrzały armatnie zagrzmiwały w sąsiednich ogrodach Luxemburskiego Pałacu, Prezydent Rzeczypospolitej wysiadł z powozu przed Panteonem, w asyssstencyi swojego specjalnego sztabu i w towarzystwie swojego brata, dyrektora szkoły górniczej (Ecole des Mines). P. Carnot stawił się tu, nie jako Prezydent Rzeczypospolitej, ale jako wnuk Łazarza Carnot'a, i dlatego postanowił, iżby obok krzesła przeznaczonego dlań było drugie dla jego brata. Zaraz za nim szli dwaj jego synowie: Ernest i Sadi Carnot.

Na pamiątkę 46-iej półbrgady, w której służył Corret de la Tour d'Auvergne — oddanie ostatniej czei zwłokom jego w Panteonie poruczone zostało 46 pułkowi piechoty.

Gdy wszystkie cztery trumny umieszczono już na katafalku, wzniesionym pod kolumnadą świątyni, zabrał głos p. Tirard, prezes rady ministrów, po nim senatorowie: Maze, i Noël Parfait. Z tej odległości, w jakiej się znajdowała publiczność, powstrzymywana ordynkiem wojska — nikt nie słyszał tych walnych oracyi; ale można zaufać tym panom, że musieli się pięknie wywiązać ze swego zadania i odpowiedniemi słowami pożegnali popioły zmarłych.

Skoro tylko zamknęły się usta ostatniego mówcy, wojsko stanowiące garnizon Paryża pod

kommendą generała Saussier przedeflowało przed katarfalkiem. W tej chwili obchód stał się prawdziwie imponującym świetnością, a muzyka każdego pułku, uszykowana przy Szkole Prawa, która się wznosi, jak wiadomo, na jednym z rogów Placu Panteonu, wykonywała marsz wojenny podczas defilady.

Dowódcy i sztandary salutują, przechodząc przed Prezydentem Rzeczypospolitej. Publiczność — a tłum jest niezmierny, na dachach i na kominach pełno ludzi — w milczeniu uchylaniem czapek i kapeluszy oddaje pokłon sztandarom.

Po skończeniu defilady wojska natychmiast formuje się ordynek wejścia do Panteonu. Na przód idą w trzy rzędy urzędowi woźni, za nimi delegacja rządowa i członkowie komitetu organizacyjnego, potem postępują cztery trumny niesione na barkach: pierwsza wielkiego Carnot'a, pokryta czerwonym aksamitem; druga, generała Marceau, pokryta czarnym całunem ze srebrnymi łzami; trzecia, de la Tour d'Auvergne'a, z trójkolorową zasłoną, tążsamą, która służyła na pogrzebie Gambetty, i na koniec czwarta, Baudin'a, mająca na sobie czarny całun.

Za trumnami sam tylko szedł Prezydent.

Tu obchód przybiera całą grozę żałoby; rozdzierające dźwięki marsza pogrzebowego Szopena rozlegają się, jak nieukożona lamentacja wśród pustych kątów olbrzymiej świątyni. Za prezydentem postępują w jednej grupie członkowie czterech rodzin; najliczniejsi są krewni generała Marceau, za nimi ministrowie, senatorowie, posłowie i trybunały w gronostajowych szatach, różnej barwy.

Cały ten żałobny pochód postępuje wśród inwalidów, uszykowanych w dwa rzędy i trzymających halabardy, których żelazce okrywają ogromne zasłony krepowe; wielkie, migocące zielonym blaskiem świeczniki wskazują grobową drogę.

Zstępujemy do podziemi świątyni, mijamy grobowiec Wiktora Hugo, jeszcze okryty kwiatami, i zatrzymujemy się w miejscu przeznaczonym na przyjęcie śmiertelnych szczątków czterech ludzi o wielkich sercach. Wszystkie cztery trumny złożono w jednym grobowcu a raczej w obszernej kapliczce, do której weszli jedynie: p. Carnot i członkowie rodziny.

Po powrocie do świątyni prezydent udaje się do jednego z ramion krzyża, gdzie się odbywa krótka ceremonia położenia węgielnego kamienia pod pomnik, który tu ma być wzniesiony dla Hoche'a i Klebera.

Prezydent i wszystkie figury urzędowe wychodzą ze świątyni, a kiedy p. Carnot wszedł do powozu, ze wszech stron podniósł się okrzyk: „Niech żyje Rzeczpospolita! niech żyje Carnot!“

Skończyła się uroczystość. Tłum ludu był tak niezmierny około Panteonu i na sąsiednich ulicach, że w dobre pół godziny po wszystkim z trudnością jeszcze przedostać się było można poza bulwar S-go Michała. Pięknemu obchodowi brakło tylko obrzędu religijnego.

Przejdźmy teraz do otwarcia sąsiedniej Sorbonny. Była to, zaiste, rzecz ważna i godna uwagi. Wiecie dobrze, i nie mam potrzeby wam mówić, co to jest Sorbonna. Wiąza się z nią dawne wielkie pamiątki ruchu naukowego. Starej tej Sorbonny, w której niegdyś się kształciło tylu z naszych znakomitych mężów, — tej Sorbonny któż nie zna? Prawda, był to stary, wcale niepiękny i trochę pleśnią czasu okryty budynek. Było w nim trochę zaciasno, według nowych wymagań, aby pomieścić i ludzi i rzeczy, tak dziś szeroko rozgałęzionej nauki i jej pomocniczych środków; ale cóż powiecie? Mnie osobiście żal starego gmachu, na którego ławach i jam niegdyś siadywał — żal mi go, jakby starego dobrego przyjaciela.

Na miejsce spleśniałego stanął gmach nowy, wielki, wspaniały, widny, wesoly. Słońce, światło zewsząd tu przenika. Ale czy to inne, niewidome, nienjęte światło będzie tu gościć jak niegdyś w starym owym gmachu? Nie będę opisywał, jak i co tu zrobiono, bo miejsca mam mało.

Ten-to gmach otwarto — ale nie poświęcono — jak dawniej bywało, w Poniedziałek 5 Sierpnia. Solennej inauguracji przewodniczył znowu prezydent Carnot.

O godzinie 2-iej już wszystkie miejsca były zajęte. W trybunach pełno kobiet; przed rusztowaniem, urządzonym w głębi, wznosi się trybuna prezydenta rzeczypospolitej; wokoło niej ławki przeznaczone dla rektorów, dziekanów, inspektorów Akademii, członków fakultetów prowincjonalnych i t. d. Wszyscy są w różnobarwnych togach, co dodaje wiele świetności temu zebraniu uczonych. Na dalszych stopniach amfiteatru zasiedli uczniowie francuzcy i cudzoziemscy w biretach, kaszkietach i najdziwaczniejszych czapkach.

Wokoło tego półkola amfiteatru ustawiono w równej odległości chorągwie szkolne: Oxfordu, Cambridge, Florencyi i t. d., Paryża, Lugdunu, Marsylii. Każdą z nich trzyma odpowiedni akademik — a całość stanowi przeszliczną ozdobę sali. Ponad tem wszystkim wznoszą się kolosalne posągi: Roberta z Sorbonny, Kartezjusza, Lavoisiera, Rollina, Pascala i Richelieu'go.

Powoli estrada w głębi się zapełnia — Akademicy, uczeni, starszyzna naukowa, znakomitości pióra i trybuny. Pierwszy rząd foteli przed estradą jest przeznaczony dla prezydenta, ministrów i członków ciała dyplomatycznego. Dwa ostatnie, skrajne z każdej strony zatrzymano dla dawniejszych ministrów oświecenia. Na jednym z nich zasiadł p. Duruy, co, widząc Juliusz Simon, przysunął małe krzeselko i usiadł na niem skromnie obok dawnego kolegi.

Od godziny już wszystko gotowe i sala jest pełna, jak jajko, a prezydenta jak niema, tak niema. Nareszcie! zagrzmiały trąby i kotły. To on, to prezydent Rzeczypospolitej; przyjmują go studenci takim gazmotem oklasków, jakgdyby ręce mieli z miedzi. Zagłuszyli muzykę, zagłuszyli ulubioną swą Marsylianę, zagłuszyliby nawet piorun, gdyby uderzył w tej chwili. Co za klaskacze! A wokoło chorągwie salutują — jak jedna.

Zaledwie prezydent usiadł, wchodził pan Carnot do swej trybuny i owacując nanowu rozpoczynają się w najlepsze.

Uspakają się na koniec ta burza. Teraz kolej na mówców. Pierwszy otwiera usta — chciałem powiedzieć: ogień — p. Gréard, vice-rektor akademii, co ma tu inne wcale znaczenie, niż u nas. Jest to jeden z najwyższych dygnitarzy uniwersytetu. Prawdziwy to ogień ziele z ust jego i przenika wskroś młodzież, która znowu wali w łapy, aż miło. Po nim minister oświecenia pan Fallières, dalej professor p. Hermitte, a na koniec p. Chauteemps, prezes rady municypalnej paryskiej. Chciełbyście, czytelnicy moi, zachwycić coś z tego, lecz na to potrzeba by napisać książkę. Wiecie przecież, że Francuzi mają wprawna buzię — a tu pisywały się właśnie najgładsze języki!

Po skończonych mowach prezydent, starszyzna, przechodzą do auli akademickiej, gdzie zastawiono wspaniały lunch. Prezydent poprzestaje na kieliszku szampana i przechodzi do atrium, to jest do przedsielni, mówiąc ponaszemu, — gdzie się rozpoczyna deflada ogólna.

Naprzód zaproszeni goście, za nimi sunie całkowite zgromadzenie członków generalnego stowarzyszenia uczniów. Prezydent mnóstwo rąk ścisła, rzuca kilka słów profesorom, których znał zamłodu, — potem usuwa się i znika ze sceny, a wślad za nim grzot oklasków i wiwaty.

Świetny to był obchód, ale jak zobaczycie, nie w tem była cała ważność, o której mówiłem. Była ona w tym udziale, jaki przyjęła akademicka młodzież, swoja i obca, w tem otwarciu solennem, jakby wskrzeszonej Sorbonny...

Na ten obchód członkowie generalnego stowarzyszenia uczniów (*des Étudiants*), zaprosili wszystkich swych kolegów: z Anglii, Włoch, Hiszpanii, Austrii (Węgier) i t. d. Niemcy wyłączeni zostali dla tego, iż trzy lata temu, kiedy urządzano podobny obchód w Heidelbergu, zaproszono nań wprawdzie profesorów francuzkich, ale nie uczniów; ztąd dziś wet za wet!

(Dokończenie nastąpi).

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Szerzenie się chorób zaraźliwych.

V.

Kąpiele publiczne. — Hotele. — Restauracye i Cukiernie.

W czterech po sobie kolejno następujących artykułach, w różnych odstępach czasu, zastanawialiśmy się nad różnymi drogami, jakimi choroby zaraźliwe szerzą się, dotykają nasz organizm i powalają go na łożo boleści lub stają się nawet przyczyną przedwczesnego zstąpienia do grobu. Doprawdy: rozglądając się wokoło siebie, widzimy, iż drogi te zbiegają się ku nam z tylu stron, że niepodobna nie zadać sobie pytania: — czy jest taki mur, którym-by można się otoczyć i zamknąć owe gościńce, po których pełzają, wciskając się się do naszego organizmu, różnego rodzaju laseczniki, zarodniki i t. p. Bezwarunkowo jest; nazywa się on *hygienicznym sposobem życia*: to pierwsza, wewnętrzna jego warstwa, a druga zowie się zewnętrzną *czystością* w ścisłem znaczeniu tego słowa. Kto otoczył się podobnym murem, ten nie ma jeszcze pewności, iż się nie zarazi chorobą; lecz śmiało twierdzić można, że zabezpieczył się już od niej w wysokim stopniu — jeśli go porównamy z tym, kto nie żyje według zasad higieny i w czystości — i może już, jak to powiadają, spć spokojnie.

Bardzo często zarażenie się chorobą przychodzi do skutku w kąpielach publicznych. W tym razie chyba możności zarażenia się dowodzić nie potrzeba; gdzie jedna osoba rozebrana do naga siada do wanny, kładzie się na kanapie, obciera prześcieradłem lub ręcznikiem prawie bezpośrednio po innej osobie, która tesame czynności, przy pomocy tych samych przyrządów, uskuteczniła. Tu łatwiej jest, niż gdziekolwiek indziej, się zarazić. Rozumie się, że jedynym środkiem niezawodnym jest zupełne nieuczestniczenie do kąpeli publicznych. Niekażdy jednakże może mieć kąpiel na zawołanie u siebie w mieszkaniu. Dzieje się to raz skutkiem braku wody, której kanalizacja jeszcze nie wszędzie dostarczyła, drugi raz znowu z powodu braku odpowiedniego pomieszczenia w mieszkaniach prywatnych. Pomieszczenie zaś dla brania kąpeli powinno być bezwarunkowo oddzielne i to przestronne, gdyż kąpać się w pokoju, w którym następnie potrzeba spać lub tylko kilka godzin przesiedzieć, albo kąpać się w ciasnym pokoiku — z powodu przepelnienia parą wodną powietrza jest rzeczą wielce niehygieniczną. Kąpiele urządzone w domu, z pewnym komfortem, mogą dziś u nas mieć tylko ludzie bardziej zamożni, a kąpać się muszą wszyscy, a nawet mniej zamożni, z powodu pracy fizycznej częściej, niż bogaci. Skutkiem tego kąpiele publiczne powinny być w ten sposób urządzone, aby zabezpieczały kąpiącego się od dostania choroby. Tymczasem w naszych kąpielach, z małymi wyjątkami, niema pod tym względem żadnej rękomy.

We wszystkich kąpielach pierwszym warunkiem jest czystość, czystość posunięta do najwyższej pedanteryi — no, ale co o tem, to chyba i niema u nas co mówić. Potrzeba mieć wkorzonioną od dzieciństwa, żądzę czystości, trzeba ją wssać z mlekiem matki, trzeba te zasady mieć wszczepiane przez ojca, choćby dotykalnemi środkami: inaczej będzie ta czystość albo żadną albo, co najwyżej, połowiczną. Zresztą owa potrzeba czystości może być instynktowną, tak, jak ją spotykamy u zwierząt, które obmywają swe ciało i oczyszczają gniazda. Lecz u nas w miejsce tego instynktu istnieje wiele innych... mniej pożytecznych.

Niezależnie od braku czystości kąpiele nasze pod wieloma, mówmy bez ogródek, pod wszystkimi, względami są urządzone wadliwie. Najpierw samo pomieszczenie, tak zwana łazienka, w której stoi wanna. Porządne wykąpanie się wyma-

ga przynajmniej godziny czasu, wliczając w to rozebranie się i ubranie, a także niezbędny po niem odpoczynek. Otóż przez tę godzinę oddycha się parą wodną i wyziewami, a nie powietrzem; jeżeli dodamy do tego, że nie zdążono okna nawet na pięć minut otworzyć, (jest to czas owiele zamały dla odświeżenia powietrza), po poprzednich klientach, to następny oddycha powietrzem zepsutem, parą wodną i wyziewami, które mu doskonale zapewnić mogą nabawienie się choroby. Proszę mi pokazać w Warszawie trzy zakłady kąpielowe z porządnie urządzonej wentylacją... a przestanę pisać o szerzeniu się chorób zaraźliwych!

Same wanny przedstawiają wiele ujemnych stron. Pominąwszy te zakłady, w których posługują się jeszcze dziś drewnianymi wannami, a których przy najusilniejszych staraniach (tych zazwyczaj braknie w zupełności) dokładnie oczyścić nie można, mamy wanny marmurowe i cynkowe. Pierwsze, najwłaściwsze pod względem łatwości oczyszczania, przedstawiają tę niedogodność, że podczas pierwszej albo nawet drugiej kąpiele są jeszcze zupełnie zimne, chociaż wpuszczono w nie ciepłą wodę, co często powoduje silne dreszczę, a nawet reumatyzm niekiedy. Najwłaściwsze tedy są wanny cynkowe, dobrze wybielone. Kardynalną zaś wadą wszystkich wanien w naszych kąpielach jest ta, że są zapłytke. Kąpiący się kurczy się, pokłada, polewa rękami skórę, byle ją tylko zamoczyć całkowicie, zazwyczaj bowiem woda dosięga tylko połowy klatki piersiowej, reszta ciała używa sobie chłodnego *luftbadu*, gdy dolna zbyt jest nagrzewana, bo *tyrmometr* zwykle zepsuty, zkad nowy powód do katarów. A dalej, posadzka drewniana albo marmurowa, a na niej albo brak zupełny dywanu, albo, jeżeli jest, to tak mokry, że potrzeba prawdziwej odwagi, aby stąpnąć na niego, więc się stąpa po zimnym drzewie, albo po jeszcze zimniejszym marmurze. Gdyby był jaki trapez nad wanną można by się przynajmniej bez oziębienia nóg przemieścić na kanapę, ale trapezu niema.

A ta kanapa! nigdy nie pokryta skórą albo ceratą amerykańską, którąby można dokładnie oczyścić, lecz jakimś spłowiałym i wytartym pluszem, konserwatorem kurzu i rozmaitego rodzaju mikroskopowych i niemikroskopowych ustrojów.

A prześcieradło i ręczniki! są tak mokre, że, nie mówię o wyżymaczkach amerykańskich, ale praczka średniej siły wyśląby z nich taką ilość wody, iż można by się w niej umyć, gdyby była czystą. Trzeba się uczesać. Winszuję temu, kto nie przyniósł z sobą grzebienia i szczotki.

Jak tedy powinny być urządzone kąpiele publiczne, aby nie szerzyły chorób?

Najpierw łazienka powinna być dosyć obszerną i należycie odwietrzoną, wanna—tak głęboką, aby kąpiący mógł się w wodzie po brodzie zanurzyć, najlepiej cynkowa dokładnie pobielona. Przed wanną dla każdego kąpiącego się, oddzielnie kłaść kawałek rogoży delikatnie upieczonej, kanapę pokrywać wytatyną a prześcieradła dawać suche i ciepłe. Oczyszczanie tych wszystkich przedmiotów odbywać się powinno sposobem dezynfekcyjnym, o którym mieliśmy niejednokrotnie sposobność mówić w *Bluszczu*.

Zresztą kto nie ma wanny w domu gotowej, ten powinien zabierać do kąpiele publicznej odpowiednią ilość prześcieradeł i ręczników do pokrycia podłogi, kanapy i wytarcia się niezbędnymi, prócz tego mydło, grzebień i szczotkę. Kto tego nie robi, musi być przygotowanym na przyswojenie sobie, jeżeli nie groźniejszej choroby, to przynajmniej jakiegoś liszaja lub choroby włosów.

Tosamo, a może jeszcze i w wyższym stopniu, stosuje się do hoteli.

W hotelu człowiek bezpośrednio zająć może pokój, łóżko z pościelą i bielizną po osobie chorej. W ten sposób zarażenie się chorobą przestaje być tylko możliwym i staje się już nieuniknionem. Tu wszystko polega na dobrej woli właściciela hotelu, który sobie powinien zadać tyle trudu, aby następnemu lokatorowi oddał numer w stanie, któryby go nie narażał na chorobę. I tu jaknajobszerniej stosować należy środki wentylacyjne i dez-

fekcyjne, a przede wszystkim czystość jaknajskrupulatniejszą. Na właścicielach hotelów ciąży jeszcze większa odpowiedzialność moralna (nie zawadziłoby od czasu do czasu i do innej pociągać) jak na utrzymujących kąpiele. Do tych ostatnich można z łatwością przybywać z niezbędnymi utylnymi, zabezpieczającymi od nabawienia się choroby, gdy do hotelu przywieźć, podczas dłuższej lub dalszej podróży, nawet najniezbędniejszych nie można. Tu już nie wystarczy podłożenie jaśka pod głowę, lub sypanie w spodniej odzieży, gdy zarazki chorobotwórcze nie zostaną zniszczone powyższymi sposobami, te ostatnie prezerwatywy nie zaradzą złemu. Bez kwestyi w ten sposób zmniejsza się wstręt, jakiego wiele osób doznaje, gdy się ma położyć na obcym łóżku, wstręt bardzo naturalny i ze wszech miar usprawiedliwiony, lecz nie zapobiegnie się, powtarzamy raz jeszcze, możliwości zarażenia się chorobą, które najzupełniej spoczywa w rękach pana właściciela hotelu, obdzierającego zawsze przejezdnych literalnie ze skóry, no, i ze zdrowia bardzo często.

Istnieją pewne choroby, które mogą przenosić się z osoby chorej na zdrową za pośrednictwem naczyń i narzędzi używanych do jedzenia, a więc szklanek, filiżanek, talerzy, widelcy, łyżek a także serwet do obcierania ust i t. p. Zarażenie się nimi dochodzi do skutku w jadłodajniach i cukierniach.

Pomijamy tu ciężkie grzechy *empoisonurs'ów*, obarczających nasze żołądki nieświeżem i nie dobre przyrządzonym mięsem, niewypieczonym ciastem, skwaśniałym mlekiem lub śmietanką i t. p. Nie tu miejsce nad tym przedmiotem się zastanawiać. Pragniemy napomknąć tylko o niezbędnej czystości, jaka jest wymagana w podobnych zakładach w celu uchronienia konsumentów od nabawienia się choroby.

Znałem pewną panią, którą przez całe życie, jak tylko pamięcią zasięgnąć mogła, nie spożywała nigdy nic, ani w restauracyi, ani w cukierni, a ze słyszenia o podobnym wstępie i obawie zarażenia się mógłbym wymienić wiele osób zkadinał niewybrednych.

Jeżeli pani ta i inne osoby miały okazywać odchylic zasłonę przybytku, zwanego kuchnią w przeciętnej restauracyi lub cukierni warszawskiej, to się ich wstrętem dziwić nie można.

Przyznajemy, żeśmy wystąpili z ciężkimi apostołami do tych panów, przyznajemy również, że samo ich czytanie może wzbudzić niesmak do stołowania się w restauracyach i cukierniach, a nie każdy ma, jak owa pani, swą stałą kucharkę i pomywaczkę i w każdej porze dnia i nocy może mieć w domu wszystko, co zechce. Niech nas jednakże wytłómaczy cel, z jakim to uczyniliśmy; chcemy przestrogią swemi zdrowie ludzkie ochronić od czyhających na nie co chwila niebezpieczeństw.

Dr. Józef Starkman.

Z bieżącej chwili.

— **Budowa kościoła na Pradze** postąpiła znacznie. Frontową ścianę świątyni doprowadzono do wysokości łuków portali frontowych, i inne też ściany wznoszą się mniej więcej do tej wysokości. Z wewnątrz można już rozpoznać wielkość świątyni, która należeć będzie do rzędu większych kościołów warszawskich. Jest ona w stylu ceglanego ostrołuku i ściany kościoła zewnątrz pozostaną nietynkowane, wewnątrz wszystkie kolumny, żebrowanie sklepień i inne profile również tynkowanymi nie będą dla uniknięcia monotoności. Według znawców dawne kościoły wiślano-bałtyckiego stylu tak też stawiano i dopiero później, wytynkowanymi zostały. Roboty prowadzą się energicznie, ale

grozi brak funduszu i ofiarność publiczna musi tu przyjść z pomocą.

— **Z Gdańska do Warszawy** przyholowano statek z ładunkiem muszli, ważącym 20,000 kilogr. Muszle te, pochodzące z Australii i Ameryki Południowej, są przeznaczone dla fabryki guzików hr. Lud. Krasińskiego na Kurpiach. W Warszawie, w fabryce grzebieni, także hr. Lud. Krasińskiego, muszle te porzniete zostaną na krążki guzikowe i dopiero wysłane na Kurpie dla obrobienia. Pracuje nad tem obecnie 325 Kurpiów, zarabiając przeciętno po 3 rs. tygodniowo. Gdyby to więcej panów naszych poczuwało się tak poczciwie do obowiązków obywatelskich krzewienia przemysłu krajowego!..

— **Wystawa sztuki starożytnej i nowożytnej stosowana do przemysłu**, urządzona przez Komitet *Muzeum przemysłowo-rolniczego*, otwartą będzie d. 1-go Listopada. Deklaracye, wydawane do d. 15 września osobom pragnącym wziąć udział w wystawie, winny być po wypełnieniu i podpisaniu składane w kancelaryi Muzeum do d. 5 Października; przyjmowanie okazów trwać będzie od d. 5-go do 22-go Października. Z działu sztuki starożytnej przyjmowane będą: meble, wyroby ceramiczne, gliniane, fajansowe, porcelana, szkło, wyroby metalowe, jubilerskie, wyroby z kości słoniowej, z drzewa, kamienia, koronki i tkaniny, skóry, emalie, zbroje; dalej: sztuka drukarska i introligatorska, numizmatyka i medale, sfiagistyka i instrumenta muzyczne.

Z działu nowożytnego przyjmowane będą przedmioty zaznaczające się artystycznym wykonaniem, w zakresie: mebli stylowych, wyrobów glinianych, porcelanowych, szklanych, oraz artystyczne wyroby słasarskie, jubilerskie, ze złota, srebra, brązu i plateru; wyroby tokarskie, grawerskie i snycerskie, malowanie na drzewie, instrumenta muzyczne artystycznego wykonania na zewnątrz.

Przedmioty sztuki nowożytnej będą odznaczone nagrodami w medalach złotych, srebrnych, bronzowych i listach pochwalnych.

— **Klasa deklamacyi** została otwartą przez p. Józefa Kotarbińskiego w szkole Towarzystwa Muzycznego. W braku szkoły dramatycznej w mieście naszym ta nauka deklamacyi ma na celu pewne jej zastąpienie.

— **Z zapisu** ś. p. Adama Chojnackiego przypadają w tym roku dwie nagrody po rs. 150 i 75 za długoletnią, uczciwą służbę dla lokaja i stróża. Kandydaci zgłaszać się mogą ze składaniem kwalifikacyi do magistratu po dzień 17 Października.

— **Otwarcie sal zarobkowych** imienia Staszycy ma nastąpić jeszcze w roku bieżącym.

— **Starożytna świątynia krakowska** Kościół *Panny Maryi*, restauruje się z gruntu pod kierunkiem budowniczego Stryjeńskiego. W bieżącym roku restauracya ograniczy się, dla braku funduszu tylko do prezbiterium, co ma być ukończone przed Bożem Narodzeniem. Według planu przywrócony będzie tej części świątyni styl właściwy z XVI wieku, po odrzuceniu późniejszych naleciałości z epoki Odrodzenia i *barocco*. Do dekoracyi wewnętrznej postanowiono użyć polichromii, a tu Matejko okazał szlachetnie obywatelską i pobożną ofiarność w dostarczeniu planów, nad którymi pracuje z wielkim zapalem od kilku miesięcy. Według pomysłu mistrza dekoracya ciągnąć się ma od dołu ścian, aż po klucze sklepienia po kamiennych żebach, które podzielił na ciemne i jasne, rzucając jako deseń barwne ozdoby herbów, lub godła, które też znajdują się i na dalszych żebach, czyli diastach. Ornamentami głównymi będą herby miasta Krakowa, orły, imię: Jezus i Marya, herby Odrowąża i Wierzyńska. Sklepienie błękitne zasieją złote gwiazdy.

Główna część ścian szaro-zielona, da dobre tło dla dekoracyi. Z malowanego pnia drzewa strzelać będą kwieciste gałęzie, ze skrzydlatymi aniołkami, wyciągającymi ręce ku górze. Napis: „Ora pro nobis“ pień drzewa otoczy. Między oknami tarcze herbowe królów, książąt i dobrodziejów starożytnej świątyni, oraz miasta. Matejko ma jeszcze w projekcie postacie historyczne we fra-

mugach i medaliony z herbami; rysunki jego przeniesie na kartony malarz Lisiewicz.

— **Towarzystwo akademików czeskich** w Pradze zostało rozwiązane przez namiestnictwo z powodu, że czytelnia akademicka, wysyłając adres do studentów francuzkich z powodu otwarcia Sorbony przekroczyła państwową ustawę o stowarzyszeniach. Adres wysłany brzmiał gorącym zapalem młodzieńczego uczuć: „Kochamy, wielbimy Francją, bo w naszych czasach podniosła ona zwycięzko ideę, za którą naród nasz w Wiekach Średnich krew przelewał. Jesteśmy synami upadłego dziś narodu, lecz stoimy na fundamencie wielkiej przeszłości i daremne będą usiłowania naszych przeciwników, czyhających na naszą zgubę. Podnieśmy się znów do dawnej naszej chwały.“ Czytelnia istniała od 1848 r., liczyła w chwili rozwiązania 881 członków czynnych, 120 wspierających, 225 członków założycieli i 69 honorowych. Majątek jej wynosi 43.000 złotych reńskich, fundusz wsparcia dla ubogich akademików 4.000 złr. fundusz na budowę domu akademickiego kilkanaście tysięcy reńskich. Biblioteka czytelnia obejmuje 25.000 tomów. Majątek czytelnia przechodzi na gminę miasta Pragi, która obowiązana jest zwrócić go, jeżeli towarzystwo znowu odżyje.

— **Literat Chorwacki**, Adolf Talkowicz Weber, kanonik zagrzebski umarł dnia 7 Sierpnia. Obok prac oryginalnych, zamieszczanych stale w czasopismach chorwackich, a głównie w „Vienicu“, tłómaczył wiele z rozmaitych języków, głównie z francuzkiego i polskiego, między innymi „Irydion“ Krasieńskiego. Człowiek zamożny, cały swój majątek zapisał na cele użytku publicznego: 6.000 złr. katedrze w Zagrzebiu, 6.000 złr. Towarzystwu S-go Hieronima, wydającemu książki ludowe, 1.000 złr. akademii południowo-słowiańskiej, 7.000 maticy chorwackiej, 2.000 złr. towarzystwu drukarskiemu na wsparcie jego wdów i sierot, 1.000 złr. towarzystwu akademickiemu na wsparcie dla studentów prawnego i filozoficznego fakultetu. Oprócz innych, w tym samym kierunku zapisów, przeznaczył 6.000 złr. na swój pomnik grobowy, z warunkiem, aby go wykonał ubogi; ale wyższego talentu młody rzeźbiarz, Jan Rendowicz.

— **W Peszcie** wyszła książka traktująca o stosunkach dyplomatycznych Polski i Węgier za czasów Stefana Batorego. Autorem jest Dr. Lajos Szédecki, wyższy urzędnik w ministerium Spraw Zagranicznych; tytuł książki jest: „Bathory Istvan, Lengyel Korálylyá választasa“.

Nagrody na wystawie paryskiej przyznane przez komitet wystawy, wystawcom, występującym za pośrednictwem Warszawskiego komitetu wystawy, liczą medali złotych siedm: Firma Krall i Seidler z Warszawy, oraz Kerntopf i syn z Warszawy—za fortepiany. Cukrownia „Hermanów“, oraz towarzystwo akcyjne „Konstancja“ za cukier rafinowany, papiernia „Soczewka“ za ogół okazów, hr. Potocka Marya z Wysokiego Litewskiego za zboże ozime i jare, Wojciech Poletyło z Krasiczyna za wełnę. Medali srebrnych ośm przyznano: Julianowi Małeckiemu z Warszawy za fortepian koncertowy. Ignacemu Kohn, inżynierowi z Warszawy za rysunki, Adolfowi Troetzer z Warszawy za sikawkę parową z kotłem. Warszawskiemu Towarzystwu dystrylacji spirytusu za alkohol i wódki, Szczerzewskiemu z Grodna za wyroby tytoniowe, Wilhelmowi Steiner z Warszawy za gorsety, Dr. Forstelter z Białego stoku za przyrządy terapeutyczne i gimnastyczne, Mikołajowi Glince ze Szczawina za wełnę, Waclawowi Piskorskiemu z Warszawy

za skóry garbowane, Braciom Frumkinom z Landwerowa za gwoździe. Medali bronzowych sześć przyznano: Teodorowi Rzętkowskiemu z Jeziorka za dystylowany spirytus, wódki i likiery, Julianowi Eiger z Wysokiej za cement, Felixowi Ryckowskiemu inżynierowi z Warszawy za wzory tkanin metalowych, Józefowi Dziegielewskiemu z Warszawy za aparat do oznaczenia procentu cukru w burakach. Listów pochwalnych 5 przyznano: Adolfowi Datyner z Warszawy za różnego rodzaju harmoniki ręczne, Tadeuszowi Góreckiemu z Warszawy za nową olbrotowo-terpetynową zaprawę do podłóg, Waclawowi Malinowskiemu z Warszawy za rękawiczki skórzane w różnych gatunkach, Edwardowi Eichler z Międzyrzecza za wódkę kolońską i wodę leśną, Waleryanowi Tito ze Smolan za wódkę i spirytus. Ogólna liczba wystawców jest 56.012, z tych 859 po za konkursem.

— **Komitet sekcji artystycznej wystawy paryskiej** potwierdził wyroki biegłych i utrzymał nagrody, przyznane artystom naszym. Medal honorowy otrzymał Józef Chełmoński za obraz: „Powrót z odpustu“ Medal złoty I-ej klasy—Wacław Symanowski za „Kłótnię Huculów“, medale złote klasy II-ej—L. Horowitz, za „portrety“ i Józef Pankiewicz za obraz rodzajowy „Targ na jarzyny za Żelazną Bramą“; Medal złoty klasy III Teodor Aksentowicz za portrety pastelowe. Odznaczenie honorowe otrzymał Wojciech Gerson za „Dwór Kazimierza Sprawiedliwego“. Artysta ten wykończył świeżo obraz wielkich rozmiarów: „Sobiesiada“.

— **Kongres geograficzny**, odbywający się w Paryżu, mianował prof. Adolfa Pawińskiego przewodniczącym jednego z wydziałów kongressu. Uczony nasz przemawiał „o metodzie badań naukowych w zastosowaniu do geografii historycznej“ i ta mowa dała poznać kongressowi i wartość naukową jego poglądów.

— **Pomnik dla uczczenia pamięci poety**, Hamerlinga zostanie wzniesiony w Hradcu przez literackie stowarzyszenie „Concordia“.

— **Beatyfikacja Kolumba** została już urzędownie przez Papieża postanowioną. Zażądało jej 850 biskupów, przesyłając prośby swoje Ojcu Świętemu. Postulantem beatyfikacji mianowany został Francuz i, rzecz niezwykajna, człowiek świecki: hrabia Roselly de Lorgues. Jestto starzec już sędziwy, mający lat 85, który sprawie zaliczenia Kolumba w grono Świętych poświęcił pracę całego życia, gromadząc i rozświecając dowody zasług wielkiego podróżnika i jego przewodniej myśli, pracującej dla rozszerzenia chrześcijaństwa.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

Zeszyt k. 25.
Pocztą 32.

TANIE WYDANIE

Zeszyt k. 25.
Pocztą 32.

Wyszły z druku zeszyty 12-ty, 13-ty i 14-ty dzieła p. t.

PISMO ŚWIĘTE

STAREGO i NOWEGO TESTAMENTU

Jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycja ozdobiona 230 drzeworytami

rysunku najslawniejszego francuzkiego ilustratora

GUSTAWA DORÉ

przekład X. JAKÓBA WUJKA,

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską.

Wydanie nowe z objaśnieniami, zatwierdzone przez Konsystorz Archidiecezyji Warszawskiej.

Każdy zeszyt zawiera 3—4 arkuszy druku oraz 3 lub 4 wielkie ryciny oddzielnie na grubym ilustracyjnym papierze odbite; zeszyty wychodzą w przerwach 10—12 dniowych; zeszytów będzie 60.

WARUNKI PRENUMERATY:

Żadne zaliczenie nie jest wymaganiem; — zapisujący się płaci 25 kopiejek przy odbiorze zeszytu. Za podaniem adresu księgarnia wydawcy M. Glücksberga przy ulicy Królewskiej Nr. 5 przesyła zeszyty do domu.

Z przesyłką pocztą liczy się zeszyt kop. 32, prenumeratę z prowincyi nadsyłać można częściowo, lecz naraz najmniej na 5 zeszytów, czyli rs. 1 kop. 60, gdyż na prowincją naraz po 5 zeszytów ekspedycyować się będzie.

Nadsyłający z prowincyi odrazu prenumeratę na całe dzieło płacą tylko rs. 17 zamiast rs. 19 kop. 20, jakto przy częściowej opłacie wypada.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach.

Michał Glücksberg,

Księgarz-Wydawca, ulica Królewska N. 5.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Zbliżka i zdaleka, przez M. Huciką. — Sąsiedzi, obrazek współczesny, napisała Zbigniewa Zmorska. — Z Nieśmiertelnymi przez F. M. Crawford'a. — Nowiny Paryzkie. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej; przez J. Starkmana. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **O własnej mocy**, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 16 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 6 Сентября 1889 года.